


Magazyn Literacki Składka
nr 2/2026 (20)
Antrakt

SKŁADKA



Zuzanna Stempska, Lidia Filip, Benjamin Misiak, Martyna Marczewska, Mira Król, Nina Sikorska,
Maciej Miłosz, Adriana Sobkowiak, Joanna Witczak, Stanisław Tarnowski, Szymon Dzieścielewski,
Ola Jankowiak, Bogna Goślińska, Aleksandra Szymkowiak, Kasia Możejko

5	List od redakcji	39	Joanna Witczak Eldgja
6	Zuzanna Stempska Wstęp	40	Adriana Sobkowiak furie nie znają kalendarza
9	Lidia Filip brudne przedwiośnie	41	Stanisław Tarnowski Król PowerPointa
11	Beniamin Misiak patogeneza	46	Szymon Dzieścielewski cztery razy osiem
12	Martyna Marczevska Sarny przychodzą nocą (notatki)	47	Ola Jankowiak Wiosna Galopuj szybciej, bo jest rok ognistego konia
14	Mira Król .pamięć c(i)ąła.	49	Bogna Goślińska W piękny rejs
22	Nina Sikorska Liquid-hotel	56	Aleksandra Szymkowiak Mężczyzna z grotty
30	Maciej Miłosz Nihil novi sub sole. Kurzajki	63	Kasia Możejko Przez okno (I) Przez okno (II)
32	Adriana Sobkowiak lustro faq	65	Adriana Sobkowiak antrakt dla dziewiętnastu matek
33	Zuzanna Stempska Ukryta prawda		
38	Beniamin Misiak mieliśmy byliśmy		

A collage of hands and jewelry on a purple background. In the center is a graphic of a face with pink flowers. The hands are adorned with various rings and bracelets. A lightning bolt tattoo is visible on one wrist. The overall aesthetic is artistic and layered.

Wszystko co subtelne jest w życiu ważne.

Kiedy zostanę Marthą Stewart?

Pięć lat temu, 29 marca 2021 roku, założyliśmy *Składkę* i powstała ona tylko z chęci zrobienia czegoś dobrego – nie mieliśmy na nią ani pieniędzy, ani zbyt wiele umiejętności. Czuliśmy, że wszyscy to widzą i szybko nas z tego rozliczą. Ale wtedy zaczęliście wysyłać do nas swoją twórczość.

Pięć lat później nadal nie mamy pieniędzy i ogromnych umiejętności, ale mamy za to zespół, który rozgrzewa nasze serca. Każdy open call i każda praca nas numerem kryje w sobie (oczywiście latami coraz mniej) pewien element zaskoczenia, że to się udaje. Po dniach wypełnionych scrollowaniem reklam i wysyłaniem CV do miejsc, których w ogóle nie szanujesz, składkowa bańka jest jak piękny sen, który wyśniliśmy sobie dawno temu. Pewnie dlatego do dziś *Wspólnota* to jeden z naszych ulubionych tematów, jakie przewodziły *Składce*.

Brzmi to jak ckliwa przemowa, ale każdy czasem musi (i pewnie powinien) wygłosić ckliwą przemowę. Dziękujemy każdej zaangażowanej w *Składkę* osobie, szczególnie Marcinowi i Sandrze, ale również Borysowi, Jagodzie, Kubie, Wice, Zuzie i, od niedawna, Oliwii. Przez lata pomagało nam też kilka innych osób i im również należą się podziękowania – dzięki Jowita, Jan, Kinga, Łukasz i Zuzia!

No i najważniejsze – dziękujemy każdej osobie, która kiedykolwiek wysłała do *Składki* swoją twórczość – nieważne czy z sukcesem czy nie. Dzięki, że jesteście z nami już pięć lat!

Nowy rok zaczynamy od kroku w tył, z powrotem do wspólnoty. Za nami dziewiętnaście numerów – chcemy do nich wrócić, bo przecież jeszcze wiele można dodać. Proponujemy wam przerwę, antrakt, w ramach jubileuszowego, dwudziestego już numeru.

Założyciele *Składki*,
Klaudia i Krystian

Wstęp

Zuzanna Stempska

Mój Drogi Patyczku,

(a może wolisz, żebym jednak zwracał się do Ciebie pełnym imieniem? Patyku? Daj proszę znać.)

ostatnio dużo myślę o Tobie. Tu, gdzie jestem, ciągle świeci słońce i wyobrażam sobie, jak fajnie by Ci było. Pomyśl – jakbym znowu mógł położyć Cię obok stawu w parku. Promienie światła odbijające się od tafli wody tak ładnie załamywałyby się na Twojej korze. W końcu mógłbyś wyschnąć do cna i nie martwić się, że któregoś dnia nieszczęśliwie zbutwiejesz. Stałbyś się wtedy nieodłączną częścią ściółki, fragmentem ilości tak niezliczonej, że aż boli mnie głowa.

Mam nadzieję, że nie obawiasz się, że może wymieniłem Cię po Twoim zniknięciu. Albo broń boże o Tobie zapomniałem. Ostatnio usiadłem na starym dębie przy szumiącym potoku i liczyłem każdą gałąź po kolei. Dwudziesta ósma trochę wyglądała jak Ty, serio. Ale była *inna* – nie taka i w ogóle jakaś dziwnie wykręcona.

Wiem też, że dużo nie rozmawialiśmy, to znaczy Ty w ogóle nic nie mówiłeś. Zdarzało mi się czasem ćwierkać bez zastanowienia, ale to chyba nie był wystarczający powód, żeby tak po prostu wyparować. Czasem wystarczy powiedzieć: „idę, pa”. Zamiast tego wolałeś odejść bez słowa. Chociaż w sumie nie miałbyś nawet jak mi takie słowo przekazać.

Niedługo wyklują się moje pisklęta, w końcu maj tuż za rogiem. Jeszcze niedawno byłem pewien, że przy tym będziesz, że to w oparciu o Ciebie zbuduję gniazdo. Nie mam Ci tego za złe, najzwyczajniej *nigdy* nie wyobrażałem sobie, że stanie się inaczej.

Ostatnio miałem taki sen. Trochę się go wstydzę, bo jest taki dziwny... Ale wiem, że nie będziesz mnie oceniał.

Przyszedł maj i lada dzień przez skorupki jaj zaczną się nieudolnie przebijać małe pisklęcie dzioby. Już nie mogę się doczekać, więc dzień i noc czuwam nad gniazdem. Nie istnieje nic, co mogłoby mnie wyrwać z tego transu.

Po jakichś trzech wschodach i dwóch zachodach słońca coś nagle zaczyna poruszać się wśród gałązkowej okrągłej formy. Po chwili widzę po kolei jeden, dwa, trzy i cztery dzióbki, a zaraz główki i ciała, które jakby po ogromnym wysiłku wypełniają ze skorupki. Jednak jedno jajo wciąż pozostaje niezmiennione. Podskakuję bliżej, żeby postukać lekko w jego powierzchnię. Nic. Kolejny raz. Nadal nic. Robię to kilka razy, lecz bezskutecznie. W końcu, chyba w przypływie tak ogromnych dla mnie emocji, przebijam dziobem jajko. Tłukę je na dziesiątki kawałeczków. Na początku myślę, że jest puste. Ale zauważam wśród puchu i pierzu, suchych liści i mchu, znajomy kształt. To Ty. To ja wyklulem Cię z jaja.

Tak, wiem – dziwaczny. Może go później stąd wykreślę i opowiem Ci o nim, jak się spotkamy. Nie chciałbym teraz wyjść na odchodzącego od zmysłów wszelakich, ale czuję, że ten sen stanie się rzeczywisty.

Więc proszę, opowiedz mi, gdzie jesteś i co robisz tam, gdzie mnie nie ma. Wiedz, że myślami jestem z Tobą i nie mogę doczekać się Twojego powrotu.

Twój Wróbelek

(odpowiedź Patyka)



Zuzanna Stempska (ur. 2001, Poznań) – artystka wizualna i autorka tekstów. Absolwentka i wykładowczyni Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu, współzałożycielka Artystycznego Związku Sportowego. Od 2025 roku współpracuje z magazynem *Szum*. Entuzjastka patyków, rysowania i postsztuki. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @zstempaska i na <https://zuzannastempaska.cargo.site>.

miasto wykręca się w sobie
prześwit luty
przedświt
biegnę
brzydkim, koślawym mostem
z którego leciało
cielsko, myśl, telefon
wysnuwało się z dłoni
przez błękitne bariery
przęsła
szczerczate zęby
patrzy mi w oczy cieję
skorupa, mięso:
psy węższą poniżej
szukają resztek
ja pilnuję jak stróż
przychodzę na wartę
ja jestem
pod spodem siebie
pocę się pod płaszczem
w kieszeni pół chusteczki
do nosa
takiej, za którą już wstyd
miasto wykluwa się w sobie
stara łąka kruków

Wiosna
brudne
przedwio-
śnie

Lidia Filip

dusi pisklę
czas na drugą zimę
drugie pół wieczności

fioletowe błoto infekuje śnieg
syntetyczna muzyka miasta
pobudza w dygocące ruchy
pchły autobusów tnące aleje;
przez zaciśnięte zęby kły ropa
opływa drogi i reflektuje
to nie jest światło to nie jest już noc
nie chwytam się chmur spróchniałych korków
nie wolno dotykać lepiej nie patrzeć
reguły mętne niech będą mętne
jakie to słowa to nie są słowa
to nie są myśli to moje myśli
białym drzewom lamp spływają liście
zakonserwują może do jutra
moje noszące kohorty świateł
rozchelstane w wiatr z lateksu oczy

Zima
**patogene-
za**

Beniamin Misiak

Beniamin Misiak (ur. 2002) – student Uniwersytetu Jagiellońskiego; miłośnik malarstwa,
nauki, natury, słów i niektórych chwil.

Zima
Wspólnota
Przesilenia

Sarny przychodzą nocą (notatki)

Martyna
Marczewska

Kiedy palili ją na proch, w całej wsi ujadły psy.

Pamięta dokładnie dzień swojej śmierci. Wiedziała, że wydarzy się coś ważnego, bo w nocy przyszły sarny, a sarny zawsze zapowiadały zmiany w obejściu.

Wiatr był spokojny, ale chłodny. Ostatnie myszy pchały się do domu przed zimą i za każdym razem, kiedy otwierała drzwi, musiała uważać, żeby żadnej nie przeoczyć.

Zjadła ciepły i pożywny obiad. Na kolację przygotowała kleik z prażonymi antonówkami. Garnki z resztkami jedzenia wystawiła wieczorem na ganek do wylizania psom, żeby miały pełne żołądki na pierwsze przymrozki.

Pomyślała, że zimy też są dobre, bo zimą można całymi dniami ścinać białko. Rzucić patyki w oparzeliska. Zimą można być czułym i cichym, a w mrozie giną pluskwy i roztocza. Zimą smukłe i łagodne sarny poją się śniegiem, ale gdy dzień się szybko kończy, łatwo się gubią i odłączają od stada.

Kochała swoje sarny. Mówiła, że skoro przyszły, skoro znalazły tu dom, trzeba się nimi zająć. Wytresować, nakarmić, podać rękę, stworzyć wspólnotę. Wtedy okazało się, że wszystkie głosy dookoła mówią wiele, że wszystko jest mądre, ale nic nie jest spójne. *Czy osvajanie powinno być trudne?*

Zająca karmiła codziennie, a i tak odszedł przed wiosną. Ostatniego dnia powiedział, że *miejsca to tylko miejsca, ale i tak każdy powinien wybrać z rozwagą, gdzie umrzeć, i że ona wybrała mądrze.*

Pamiętaj – źle ułożone kości przynoszą pecha.

Po zimie przyszły rozterki, czary i roztopy. Przeżyła pierwszą zimą po swojej śmierci.

Kiedy odpuściła gołoledź, sąsiadka przyszła po mszy i powiedziała, że *ta jebana kura przez miesiąc zniosła tylko trzy jajka i nie opłaca się jej trzymać.*

Kiedy ją zabijała, w całej wsi ujadły psy.

Martyna Marczewska (1993) – mieszka na Mokotowie, gdzie w starym bloku ucieka przed współczesnością. Píše od zawsze, sama i w grupie. Można ją spotkać na warszawskich open micach literackich. Do publikowania wraca po przerwie. W wolnych chwilach piecze cherry pie jak w *Twin Peaks* albo głaszcze czarnego kota, słuchając Dylana i Cohena. W swoich tekstach stara się łączyć surową codzienność z mrokiem i elementami magicznymi. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @a_book_of_days.

Fale

.pamięć c(i)ała.

Mira Król

I

Okrzyknęli to domem i przyjęło się jak SARS-CoV-2 z Wuhan i śmierć w масечkach i gumowych rękawiczkach, a jednak znowu tu byłam. Podobno nie wolno się z tego śmiać (z covidu, hej!), tak jak z Holocaustu i pedofilii. Tak powiedziała mi znajoma z pracy, a ja jej uwierzyłam, bo jestem naiwna jak dziecko. Wie, co mówi, bliska jej osoba zmarła w szpitalu. Tam, gdzie mieszka śmierć, śmiech staje kołkiem w gardle.

Rękawiczki kupiłam czarne, by dodać sobie elegancji. Gdy moje ciało pokryją starcze plamy, będą w sam raz do trumny. Durna ja, skarciłam się w myślach za trumienne śmieszowanie. Wielki czarny kleks i tłusta plama, cała ja, pierdolony trop rzucony na leśnym rozstaju i jebany brak taktu. Miało być bez przeklinania.

Ojciec tytał na mnie spod oka, gdy naciągałam lateksowe cuda tuż przed wyjściem do supersamu. Grzecznie schowałam listę zakupów do kieszeni. Nie mieszkałam w domu (sic!) od kilku ładnych lat i były to najpiękniejsze lata mojego zasranego życia. Więzi są silniejsze niż pamięć, a może socjalizacja tak mnie pięknie ułożyła, że nie odróżniam woli od bezmyślnej gospodarki leśnej, wycinamy, karczujemy, sadzimy, rżniemy w pień i abarot to samo, aż nam matka ziemia pokaże środkowy palec i nie zemrze, mordując wszystkie swoje nienarodzone dziatki.

Janek nie wyraził głośno dezaprobaty na widok córki w czarnych lateksach i czapce krasnoludka, a to było do niego niepodobne. Na takie chwile przechowywał odpowiednie epitety i cytaty, takie aż w pięty szło. Przez jedną krótką chwilę chciałam wyjąć z kuchennej

szuflady termometr i sprawdzić, czy nie mamy do czynienia z kolejnym ogniskiem wirusa pod samiutkim nosem. Dość. Wystarczy. Ta mała czarna owieczka, jagnię z drugiego miotu, z czarnymi kopytkami zamiast połyskliwych pantofelków na idealnie skrojonych stópkach, ciągnęła się z drugiego końca miasta, by jak na przykładne dziecię przystało wesprzeć staruszków pomocną dłonią, podać szklankę wody czy po prostu odrobić pańszczyznę. Zapewne właśnie dlatego należało ugryźć się w język. A może matka go przetrenowała z obawy, że wyjadę za morze, jak dwie pozostałe pociechy. (Chociaż sama przesadnie się nie hamowała.) Obawy były kompletnie nieuzasadnione, wszczepiono mi w głowę metalową płytkę, wydającą nieznośny pisk i wywołującą klasterowe bóle głowy, gdy śmiem tylko nieroztropnie oddalić się poza wyznaczoną dla mnie bezpieczną odległość, na jaką naciągała się różowiućko przezroczyta pępowina.

Lubiłam obserwować swoje obleczone w lateks dłonie obracające te krągłe i te bardziej podłużne, niepozabawione jeszcze jędrności owoce i warzywa, i było w tym coś smacznego, mokrego i cacanego kontra ohydneho, zepsutego i zdroźnego. Turlałam je pulchniutkie wnętrzem jednej ręki po świeżo wylanym asfalcie drugiej. Gdybyś tu był, przysięgam, ale gdybyś tu tylko był. Zjawił się, wypadł ze szczeliny na suficie, jak z jakiegoś wrzodu wszechświata. W tej swojej hawajskiej koszuli i rurkach kompletnie niewłaściwie podkreślających przyrodzenie, to turlałabym się z tobą na tej obrzydliwej i ulepionej rozlanym jogurtem posadzce i dochodziłabym raz za razem, wielokrotnie i z wytryskiem, moim rzecz jasna. Ale nie ma tu ciebie, więc ssie mnie nieznośnie w żołądku i gdyby nie te cholerne rękawiczki, odgryzłabym skórki do krwi.

Ładuję wszystko do siatek i po prostu wychodzę, przygnębiona zwyczajnością dnia i lękiem przed powrotem natręctw i obsesyjnych myśli. Kompulsja i obsesja, moje dwie siostry, wyimaginowane psiapsi z dzieciństwa. Fantazjowanie o spółkowaniu między słoikami z ogórkami i puszkami z konserwowanymi warzywami w celu obniżenia napięcia nie wróży nic dobrego. Fuck!

A może to jednak nagły poryw serca, a gdy pokonam pół miasta do ciebie żar zgaśnie i będę tylko palić papierosy, wystawiając zakapturzony łeb za okno i słuchać, jak skwierczy krótka istota tytoniu opuchniętego w małą papierową formę i długiego nikotynowego patyczka między palcami. Skwierczy to, co mogło jęczeć, wyć, sapać, ochać i achać. Po wszystkim strzepnę pył. Język zwinę w rurkę.

II

Dom – nabieram powietrza. Dom to gniazdo, centrum bioróżnorodności, wyściełane pierzem, gałęziami, sierścią, pajęczyną, mchem, trawą i bóg wie, ale nie powie, czym jeszcze. Nie wierzę im. Moja wiara dopuszcza do siebie tylko prawdę o szkieletach wyrzucanych z gniazd piskląt.

Ufam kukułkom, nie wiją gniazd.

Wymykam się przez obdrapane ramy, które są, albo się tylko wydają być tym, co chciałabym w nich widzieć. Nie ma tu drzwi i okien. Tylko serce kołacze w piersi, i coś mi to przypomina, bojaźń bożą? Za żebrami mam pierzastą kulkę, rozedrgany pocisk, drobną kłótliwą bestię, żarłocznego wściekłego rabusia-modraszki. Zamykam ją za parzystymi prętami kości i nie pozwalam odlecieć.

Kto by się spodziewał, że z budowy gniazda można tyle wyczytać: warunki środowiska lokatorów, ich dietę, a nawet drogę rozwoju rodowego i zmiany ewolucyjne. Te ostatnie zdają się być wyjątkowo frapujące. Bo czyż to nie jest wielce zajmujące, wrzucać i wyjmować obleczony w skórę worek kości, mięśni i narządów, sieć zawiłych i nazbyt często szwankujących instalacji, w następujące po sobie w pewnych odstępach czasu bąble powietrza wypełnione zmieniającymi się w szalonym tempie warunkami, by sprawdzać, do czego ostatecznie nas to zaprowadzi. Rozglądam się w poszukiwaniu początku i końca biegu osi, ale ogranicza mnie mój własny układ współrzędnych. Moje ćwiartki, znajome odległości, mruczą, gdy łaskocze je po całej rozciągłości ich kartezjańskich pysków.

Lubię się w liczbach parzystych, ale symetria wyprowadza mnie z równowagi. Piersi, pierwsze co przychodzi mi do głowy. Z tej przyczyny, zamięłowania do parowania, nie parzenia wbrew utartym ścieżkom myślenia, i chciałabym mieć dwie łechtaczki, jedną dla niego, a drugą dla mnie, bo nauczono mnie się dzielić, ale mam w sobie ten faktor, który szepcze mi do ucha „my precious” i każe zatrzymać skarb tylko dla siebie. Mój mały różowy przycisk, guziczek, koralik wyciągnięty ze szpary w podłodze, ma być tylko dla mnie. Nikt inny nie musi o nim wiedzieć, nadawać mu swoich przymiotów, naddawać znaczeń, zawijać w sreberka i podawać sobie z ust do ust jak zwietrzałą czekoladkę. Fuck off!

Usłyszałam, że można wyjść z domu, ale dom z ciebie nie wyjdzie. Myślę o tym za każdym razem, gdy wykonuję lustrzane odbicia gestów rodziców. A tak przeze mnie znienawidzone słowa ładują się mi na język wielką drewnianą łychę, zaciskam zęby i kąsam je do

krwi, spływają do żołądka, wywołując nudności i torsje całego ciała. Wkładam palce do gardła i drażnię się z nimi, chcę ryczeć jak lwica, a ujadam jak suka.

Przedrzeźniają mnie formy zamknięte w przeszłości i regularne wycieranie ich z kurzu puszystą tęczową szczotką. Czy dlatego nie oglądamy filmów, w których pary kochają się z kim chcą, gdzie chcą i jak głośną chcą? Odruchowo chwytalabym za pilot i zmieniała kanał. Nerwowo rozglądając się, czy tatuś widzi swoim trzecim okiem zepsutą córeczkę z mieszkania na drugim końcu miasta. Tą samą, która paskudzi sobie myśli w supersamie.

III

Naciskam klamkę, zamknięte. Szmery dochodzą zza drzwi, a czuję jakby wychodziły z mojej czaszki. Drzwi otwiera mama, przykładnie zaciągam maseczkę i tak stoimy face to face, matka z córką. Wszystko, żeby tylko nie sprawdziły się proroctwa wielokrotnie wypowiedane w okresie mojej adolescencji: „Ty nas z ojcem zabijesz”. O takiego i dociskam maseczkę. Nie dziś i nie ja. Wyłożoną mam skórę od wewnątrz tanią mozaiką z wyrzutów sumienia, kolekcjonowanych przez lata. Los zbieraczki. Bracia mają wyjebane, jakby kutas torował im drogę przez życie i usuwał wszystkie napotkane na niej przeszkody. Sama chyba w to nie wierzę, ale wkurza mnie swoboda i gracia, z jaką rzucili się wpływ życia i dopłynęli za morze. Co ze mną jest nie tak? Czy synowie mają zdobywać świat, a córki, uwiązane niewidzialną nicią, oddalać się co najwyżej na drugi koniec miasta, by czynić swoją powinność, słodkiej św. Marty, służącej, kucharki, gospodyni domowej.

– Dziękuję – mówi mama i odbiera ode mnie wypchane po brzegi foliówki, ale w taki sposób, że czuję, jakby to ona robiła mi przysługę. Szczwany lis. – Nie miałaś wielorazówki? – Kręci głową, nie ma maseczki, za którą ukryłaby niesmak i zgorszenie malujące się na jej twarzy. – My z tatusiem nie zbieramy już plastyku, to zabija wieloryby i koralowce od tego bieleją.

Co do chuja, myślę tylko, ale nie mówię na głos.

– Zaprosiłabym cię, ale sama rozumiesz, wolimy nie ryzykować z tatusiem. Poczekaj, przełożę zakupy i oddam ci twoje torby – mówi i chowa się za drzwiami.

„Torby” wypowiada ciężko, z naciskiem i brzmiał wyjątkowo paskudnie, bicząc się za nie w myślach przez dziesięć minut, oczekując na ich zwrot. Na pewno wyjebię je do najbliższego śmietnika. Że też akurat dziś nie wzięłam swojej płóciennej siatki. Przez kolejne lata we wszystkie święta, w ramach dyskusji o ekologii będę otrzymywała krótką reprimendę, należy przecież aplikować dawki przypominające na wszelkie przejawy głupoty i braku dyscypliny.

Drzwi ponownie się uchylają.

– Proszę. – Wręcza mi „moje torby”. – Także jak już mówiłam, dziękujemy z tatą. Pomidory trochę za miękkie wybrałaś, taki jakiś przecier, nie pomidor, szybko je zjeść trzeba, i te masła to z krótką datą ważności, ale to zamrozę. No idź, już idź.

– Cześć, mammo.

– Zadzwonimy z tatusiem, gdy będziemy czegoś potrzebowali.

– Jasne, nie ma sprawy.

Uff. Wdech, wydech. Chujowo z tymi torbami wyszło. Jestem już prawie pewna, że śpiew wieloryba już nigdy nie sprowadzi mojego snu na właściwe tory.

III

Skaczę w butach do pustego basenu. Rejwach mam w głowie, bombajską ulicę. Wchodzę do naszego mieszkania. Zajechana jak po maratonie. Przez naprawdę krótką chwilę myślę o swoim zespole WPW i że pewnie wkrótce zdechnę tak jak inne chore zwierzęta. Arytmia rozsadzi mi serce, albo w udziale przypadnie mi taki powiedzmy zawał. Robi mi się niedobrze, cały ten gruz nawożony przez lata podchodzi do gardła.

Przy stole siedzą już moje niechciane siostry, piją z moich kubeczków i jedzą z moich talerzyków. Nagle przypominam sobie o palcach w gardle, więc wsuwam je głębiej nad język i mocniej, i jeszcze, aż czuję, jak zawracają wszystkie auta na autostradzie, jak maszynista wychodzi z pociągu i przestawia tory na torsje. I jest pusto, cicho, hamuje przestrzeń. Pola przechodzą zgrabnie w niebo, nie widać miejsca styku. Nie szukam.

Jest we mnie proza i jest poezja, szkoda, że nie ma nic dobrego. Trzeba przyznać, że jednak ojciec to się na mnie pierwszy poznał.

Epilog

Pałę papierosa na balkonie wychodzącym na park Skaryszewski. To śmieszne, gdy idąc tam, mówimy, że idziemy się dotleniać. W tle śpiewa Błażej Król.

*Jestem tu dlatego
Bo nigdy nie pomyślałem
O tym że chciałbym
Tu być!*

Panta rhei. Nie zakładam już gumowych rękawiczek, supersam zmienił nazwę i szyld, zamknięto kilka knajp w okolicy, nie przetrwały pandemii. Panta rhei. A mi się nie udało zabić ojca i matki.

Matka mówiła, że urodziłam się z pępowiną owiniętą wokół szyi jak korale.

Nie noszę żadnej biżuterii, wystarczy mi jeden łańcuch.

Jutro znowu pojadę na drugi koniec miasta.

Mira Król – osoba pisząca. Mieszka na mazowieckiej wsi. Publikowała w *Migotaniach*, *Afronie*, *Drobiazgach*, *Stronie Czynnej*, *Helikopterze*, *Szajm*, *Składce*, *Trytytce*, *Zakładzie*, *Ósmym Arkuszu Odry*, *Tlenie Literackim*. Niezmiennie „zanurza się w wątpia” i szwenda. Na deficyt zieleni poleca: pola, łąki, lasy i rower.

Miód

Liquid- -hotel

Nina Sikorska

Trwa groźna tropikalna burza. Trzaskają pioruny, a obraz zamazują dzikie fale deszczu. Chcemy jak najszybciej schronić się pod dachem. I nic dziwnego, w taką pogodę to nic dziwnego. Hotel jest komunistyczny – trzypiętrowy monolit ustawiony bokiem do jeziora; wybudowany tak, żeby żadne z okien nie miało widoku na taflę wody. Wchodzimy do środka, strużki wody spływają z naszych ciał na wycieraczkę. Ściany hotelowego lobby obsiadły małe, żółte muszki.

Recepcjonistka z nadmuchanymi wargami siedzi za rachitycznym biurkiem ze sklejki. Cienkie nóżki mebla uginają się pod ogromnym monitorem i jej łokciami w marynarce w zębrę. Muszki gromadzą się na jej twarzy oraz na długich paznokciach. Kobieta wpisuje różne frazy w wyszukiwarkę Bing, jakby nie była pewna, jak być recepcjonistką. Internet sączy się leniwie, strony niby się ładują, ale są zbyt wstydlive, by pokazać się w pełnej krasie. Na ramieniu zaczyna mi ciążyć torba pełna wilgotnych ubrań i niedobrych batonów, które mają pełno protein, ale odpokutowują to smakiem kartonu. Jakby zwabiona nieporadnymi manewrami recepcjonistki z mroku zaplecza wyłania się koścista starucha. Robi zdjęcia naszych paszportów, poprawia kij, na którym się opiera i kuśtyka z powrotem do swojego kąta, by palić papierosy suchą ręką i rozsiadać się na plastikowym krześle ogrodowym.

Strasznie ciepło jest w ten pierwszy wieczór. Próbuję drzemać, ale to niemożliwe w panującym zaduchu, więc siedzę tylko w fotelu przy oknie i wachluję się telegazetą. Wentylator nie działa, coś pewnie przegryzło kabel. W pokoju wszędzie plamy po owadach. Za szybą kłębią się tłuste pająki, oblażą zepsute ochronne siatki.

Jonne siedzi na cienkim materacu i rozwiązuje krzyżówkę złocistymi od słońca dłońmi.

– Pokaż – mówię do niego i wpisuję pionowo „laczki”, a poziomo „dupa dupa”.

– Jezu – irytuje się on, bo nie lubi wykreślać.

Wracam do mojej straży przyokiennej i obserwowania, jak pająki łążą spanikowane tam i z powrotem, rażone raz po raz piorunami.

– Idę do automatu, chcesz coś? – Odwracam się, żeby odebrać potencjalne zamówienie, ale on tylko kręci głową, bo nigdy nic nie chce i zawsze jest mu dobrze – nawet w ohydny hotelu, z muchami przyklejonymi do podeszw kłapek, w lepkiej duchocie, nawet jak przestałam go już lubić.

Wychodzę na korytarz i obracając w dłoniach monety, rozmyślam o tym, że ja mam zupełnie na odwrót – mi zawsze jest źle, mam permanentną migrenę, w każdej refleksyjnej powierzchni widzę swoją zde gustowaną twarz. Nawet teraz się krzywię, bo żeby wcisnąć czwórkę na klawiaturze automatu, muszę najpierw zetrzeć z niej musze truchło.

Jej zdekonstruowane odnóża kleją mi się do palca.

Sartre bał się lepkości i rozumiem dlaczego. Nie ma nic gorszego niż stan pomiędzy – gdy chcesz postawić krok, ale kleiste niteczki zatrzymują cię w miejscu.

W poprzednim hotelu przynajmniej straszło i miałam do towarzystwa duchy, mogliśmy sobie wspólnie zawodzić, myślę z nostalgią, schylając się

po puszkę fanty. Popijam nią przeciwbólowkę, bo skronie pulsują mi od huków grzmotów. Siadam ciężko na wykładzinie, która jest nieprzyjemna w dotyku, pokryta warstwą przypadkowych ejakulacji. Jedne z drzwi na korytarzu są uchylone i obramowane aureolą żółtego światła. Po ich uchyleniu odkrywam wąską przestrzeń wypełnioną szczelnie ręcznikami – na półkach piętrzą się czyste i wykrochmalone, a podłoga zarzucona jest tymi przepoconymi, naznaczonymi śladami szminek, czekolady, naskórka spalonego słońcem. Słyszę, że ktoś nadchodzi, więc spanikowana wsuwam się za wielki kosz na pranie i kulę w kłębek. Przez dziurki w plastikowym pojemniku widzę, jak młodzieniec o złotych włosach ociera sobie czoło, a potem pieczołowicie układa swoje zużyte ręczniki na stercie. Znam go – to Pēteris Bērziņš – łotewski mistrz tańca stepowego. Kiedy próbowaliśmy się zameldować, ćwiczył swój układ w lobby, w przejściu między sofą a dystrybutorem wody. Nie mogłam uwierzyć, że śpimy w tym samym hotelu, co celebryta. Posłał mi promienny uśmiech, a potem wrócił do swojego kwadratowego, rozkładanego parkietu. Pomyślałam, że to musi być miłe – mieć taki przenośny, znajomy świat. Teraz Pēteris Bērziņš chwytą czysty ręcznik, gasi światło hotelowej pralni i oddala się, żeby wziąć prysznic, pewnie zjeść coś lekkiego i położyć się wcześniej, bo zbliżają się zawody – czytałam o tym we wczorajszej gazecie. Komentatorzy są zgodni – jest w świetnej formie, na pewnej drodze do kolejnego złotego medalu, o ile tylko nie straci koncentracji.

Wygrzebuję się spomiędzy brudnych ręczników i kieruję na stołówkę, bo jest pora obiadokolacji. W powietrzu unosi się zapach bograczu i ceraty. Goście szczękają sztucami – to głównie małżeństwa – starsi mężczyźni mlaskający pod wąsem i kobiety o pomarańczowych od olejku dekoltach, na których błyszczą minikrucyfiks. Jest

też para lesbijek, które karmią się nawzajem mętną zupą, a ich piesek poszczekuje pod stołem, więc co jakiś czas dostaje kawałek marchewki lub pomidorka. Stołówka jest obramowana szklanymi panelami, więc widzę, jak nadchodzi Pēteris. Porusza się płynnie w żółtym komplecie z Adidasa. Widać, że w głowie powtarza układ, szlifując kolejne ruchy. Myślę, że gdyby chciał, mógłby zaprzeczyć prawom grawitacji, wznieść się pod terroryzowany przez muszki sufit i naprawić wiekową żarówkę, która co jakiś czas słabnie tylko po to, by niespodziewanie odzyskać pełną jasność.

– Chcesz deser? – pyta mnie nagle Jonne. Mrugam i patrzę na niego zaskoczona – na niego i jego wyskrobany do czysta talerz po bograczu. W tym samym czasie Pēteris Bērziņš kręci z uśmiechem głową, bo kucharka chce postawić przed nim grubą kawałek miodownika. Pewnie musi trzymać linię przed nadchodzącym konkursem.

– Mhm. – Kręcę głową, obserwując, jak żółty dres znika za rogiem stołówki. – Nie chcę.

– Ale zupy też nie zjadłaś – zauważa Jonne.

Wzruszam ramionami.

– Nie smakuje mi.

Jonne rozdrabnia swój kawałek ciasta na niewielkie okruchy, które potem gromadzą mu się wokół ust. Krzyżuję ręce na piersi i wpatruję się w jego żujące usta.

– Jestem bardzo zmęczona, Jonne.

– Ty zawsze jesteś zmęczona.

– Jestem zmęczona i boli mnie głowa.

– Na pewno jesteś głodna, po prostu coś zjedz.

Zakrywam sobie usta dłonią.

– Nie chcę nic jeść z tobą, w ogóle niczego nie chcę już z tobą robić. Jak to jest, że tobie nigdy nic nie przeszkadza, ale też nic nie sprawia, że naprawdę się cieszysz? Zawsze masz taką minę pomiędzy. Kiedy dzisiaj staliśmy na przystanku, miałeś buty pełne wody i plecak też, i zaparowane okulary, i tak po prostu stałeś, nawet nie próbowałeś się schować pod daszkiem ani zetrzeć z twarzy tej za długiej grzywki. No właśnie! Ona jest za długa, ale jej nie przycinasz, bo jest ci z nią ok, jest jak jest, ujdzie w tłoku. Gdybym ja jej za ciebie nie strzygła, to pewnie sięgałaby ci już do pasa. A teraz proszę – te twoje zbite oczy... I może masz prawo do takiego ich wyrazu, bo wiem, że wszystko robisz ok i jesteś zawsze ok, a ja jestem najgorsza, bo się czepiam i złoścuję, i na ciebie krzyczę, mimo że nie zrobiłeś nic oprócz zjedzenia talerza bograczu. Ale powiedz mi, ile można godzić się na to, że ktoś po prostu sobie jest, a konkretnie stoi jak słup – ani nie przeszkadza, ani nie pomaga.

Mówię to wszystko w duchu, podczas gdy Jonne starannie przeżuwa miódownik, przyglądając się każdemu kęsowi, analizując warstwy masy i ciasta. Mam wrażenie, jakbym wściekała się na burego kundelka przywiązanego do płotu.

– Co? – pyta Jonne, przełykając, bo widzi, że intensywnie się mu przyglądam. Okruchy spadają na ceratę. Na wpół zjedzony miódownik smutnieje na talerzyku.

Kręcę głową, a słowa więdną mi w gardle.

– Idziesz się położyć?

Spuszczam wzrok i śledzę palcem prostopadłe linie kraty na ceracie.

– Ok – mówi Jonne po chwili niezręcznego milczenia. – Idę do pokoju.

Zostawia mnie w dźwięku sztućców i gwarze starszych ludzi omawiających jutrzejsze plany na plażowanie i zwiedzanie lokalnych kościółków w przedpołudniowym skwarze – marzą tylko o tym, żeby skończyła się ta groźna, tropikalna burza.

Kiedy sama podnoszę się z krzesła i mijam stół starych lesbijek, jedna z nich chwyta mnie za nadgarstek.

– Kochanie – mówi z amerykańskim akcentem, przeciągając samogłoski. – Słyszałam wszystko, co powiedziałaś w myślach do tego przezroczyściego chłopca. Mam certyfikat kursu jasnowidzenia.

Ich piesek szczeka, jakby był na baterie, jego kudłaty pyszczek wysuwa się spod ceraty. Spomiędzy natapirowanych rudych włosów jasnowidzącej lesbijki prześwituje skóra jej czaszki.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, honeeeey, powinnaś spróbować szczęścia z kimś spod znaku Wagi. – Jej oczy błyszczą. – Na przykład tym spod numeru 36, on z pewnością wygra jutrzejsze zawody.

Patrę na nią z niedowierzaniem, po czym wychodzę ze stołówki, szklane panele rozmazują się wokół mnie, razem z korytarzami, wózkami na ręczniki (biorę jeden) i lepkimi wykładzinami. Pukam do numeru 36, a drzwi otwiera mi zaspany Pēteris Bērziņš. Ma złotą, satynową piżamę i skołtunione włosy.

– Świeże ręczniki – mówię, wyciągając do niego rękę z kawałkiem frotty.

– Dziękuję – brzmi niepewnie i marszczy brwi. Nad wargą zauważam cień wąsa. – Przepraszam, nie chciałem być nieuprzejmy, ale czy nie jest na to nieco za późno?

– Mogę wejść? – pytam, nadal ściskając ręcznik.

Nie spuszcza ze mnie uważnego wzroku, ale odsuwa się od framugi, wskazując na duszne wnętrze pokoju. Za oknem kłębią się pająki.

– Przepraszam za nieporządek – odzywa się, kładąc rękę na piersi, choć oprócz odsuniętej kołdry i ustawionych przy drzwiach butów do stepowania, pokój wygląda na niezamieszkały.

Siadamy na łóżku, a ja odwracam się do niego, muszki latają wokół nas, próbuję sobie wyobrazić, że to świetliki. Całujemy się przez chwilę, jest przyjemnie, ale bez fajerwerków.

Kiedy otwieram oczy, widzę, że Pēteris rozłożył swój turystyczny parkiet. Wyciąga do mnie rękę, a ja wkładam jego zapasowe buty. Na radioodtwarzaczu włącza *How Will I Know* Whitney Houston. Jak lustro kopiuję każdy jego krok. Tańczymy coraz szybciej – toe drop, heel drop, brush i scuff – twarde podeszwy stukają o podłogę, po-

wtarzamy kombinację, obracamy się, kłaniamy wyimaginowanej publiczności, a potem zaczynamy nowy układ, już do innej piosenki. Tymczasem za oknem kłębią się pajęcze odnóża i pomrukuje odchodząca już burza.

Nina Sikorska – urodzona w 2001 roku w Bielsku-Białej, obecnie studiuje na piątym roku na kierunku Animacja na Uniwersytecie Artystycznym im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu. Pisze, ilustruje i reżyseruje filmy animowane. Jej teksty ukazały się w kilku numerach magazynu *Zakład*, a ilustracje na łamach zina *Girls and Queers to the Front* oraz *Po Godzinach*. W 2025 była częścią rezydencyjnego projektu literackiego *Lines from Visegrád*. W swojej twórczości eksploruje zagadnienia kampu, polskości i teatralności. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @nelsikoreska.

W lustrze

Nihil novi sub sole. Kurzejki

Maciej Miłosz

Szczęśliwe chwile! Zresztą – w życiu doczesnym nie masz szczęścia doskonałego. Szczęście zazwyczaj nosi truciznę samo w sobie lub bywa zatrute czymś z zewnątrz. Tak też było i w tym wypadku.

Antoni Czechow, *Zły chłopiec*

*

wielka elektromachina rzeczywistości gwałtownie i jasno przestała się na zimowe tryby zdawać by się mogło że cała atmosfera obróciła się w bryłkę lodu dawno nie było tak zimno przy czym sucho nie spadł żaden śnieg ani deszcz nawet wiatr uległ zestaleniu i stoi ciężko w miejscu ciało nie nadąża z ogrzewaniem nabieranego pracowicie powietrza w efekcie do płuc trafiają szpiczaste atomy zimna kłujące listopadowe ciernie zimno wymraża myśli tak jak ciekłym azotem wymraża się kurzejki dwa pokrewne odczucia bo świat ma wiele kondygnacji i wydarza się równocześnie na każdej z nich owo wymrażanie myśli jest jednak czymś szlachetnym zimno to panowanie nad chaosem umiejętność tworzenia porządków czyli zatrzymywania wartkiego ruchu cząsteczek tworzących potok zdarzeń w celu dokładnego im się przyjrzenia a więc schładzanie czasu i przestrzeni różnice pojawiają się dopiero na poziomie materii

**

tęsknota za piętnastoma minutami poprzedzającymi letnie burze i piętnastoma minutami następującymi po nich za wrzącym antyseptycznym błękitnym niebem sprawiającym że widoki są hiperrealistyczne antyautentyczne ostre jeżowato kłujące za lepszą jakością doświadczenia świata beztroskim wpadaniem w ciepłe zawijasy przybrzeżnych iglastych lasów wolę to wczoraj od dzisiaj zazwyczaj woli się wczoraj od dzisiaj bo przeszłość jest tylko alotropową postacią przyszłości w tym sensie że w równym stopniu podlega marze-

niom snucie planów wstecz w tę drugą stronę nazywamy tęsknotą właśnie a jako że sama przyszłość jest iluzoryczna prawdziwe jest tylko teraz

przebija się w tym wszystkim mętna potrzeba widzenia więcej niż więcej czyli wszystko żeby widzieć wszystko trzeba być wszystkim nie można jakoś z zewnątrz czyli po bożemu trzeba być wszystkim co istnieje ale też co nie istnieje więcej niż całością bo także nicością zarówno plusem jak i minusem co najważniejsze zarówno faktem jak i oszczerstwem już kybalion trafnie rozpoznał że każda prawda jest jedynie półprawdą jakkolwiek dzieciennie to nie brzmi fundamentalnym błędem boga było ograniczenie się do tych pierwszych dodatnich połówek mylący focus na jeden i odrzucenie zera fetysz kompletnego skończonego obrzydzenie pustym nierozpoczętym

terytorium plaży świeci sezamem piasku gaworzącym błyskiem morskich fal i przede wszystkim kontrastem między jednym a drugim pachnie po pierwsze zupełnie endemicznie a po drugie nierozkładalnie na czynniki pierwsze co znaczy że nie wiadomo z czego się ten zapach składa z czego wynika nie dźwięczy nie idzie żaden wiatr

Maciej Miłosz (ur. 2010) – publikował już w *Tlenie Literackim*, *Kwintesencji*, *Stowarzyszeniu Żywych Poetów* czy na swoim Substacku. Uczeń III LO w Gdyni, zodiakalna Panna, tokarczukolog. Pracuje nad trzema powieściami, z których najważniejsza, *Supernova*, sukcesywnie pochłania dwie pozostałe, obracając się w spójną, totalną całość. Chciałby ją kiedyś wydać. Prelegent V Forum Filozofek na UW. Początkuje też jako niezależny badacz, zbliża się jego debiut naukowy – udział w dwóch solidnych monografiach nt. technologii autonomicznych, o czym i o innych sprawach – informuje na swoim Instagramie @maciekmilosz314, gdzie serdecznie zaprasza.

W lustrze

lustro faq

Adriana Sobkowiak

patrzysz na mnie
(z lekkim politowaniem)
jak na wersję beta kobiety
którą można jeszcze poprawić

lustro mówi mi prawdę
(ale tylko do pewnego stopnia)
reszta to fanfiction pisane cudzym głosem
jestem szczerą
kiedy mówię: nie wiem
kim mam być w tym sezonie?

clean girl quiet luxury pilates princess
czy
alt-girl cybersigilism party girl

iluzja polega na tym,
że myślisz, iż mnie widzisz
a ja tylko odbijam twoje lęki
w rozdzielczości 4K

Adriana Sobkowiak (ur. 1998 w Lesznie) – kuratorka sztuki na hiatusie, absolwentka Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. Ukończyła też Media interaktywne i widowiska na poznańskim UAM. Koniara. Interesuje się zagadnieniami feminizmu, posthumanizmu i czarownicami. Pojawiła się w takich miejscach jak *Strona Czynna*, *POZa linią*, *Zakład* czy *Stoner Polski*.

Siedzę na ławce i macham nogami. Do przodu, do tyłu. Raz mia-
rowo, obiema nogami równocześnie. Potem prawa porusza się
szybciej, a lewa zostaje trochę w tyle. Fajne są takie ławki, że akurat
mogę sobie pomachać nogami. Bo im szybciej macham, im bar-
dziej rytmizuję moje ruchy, tym lepiej mi się skupić.

Zawsze – zawsze staram się, żeby to machanie nogami było prze-
myślane. Nie takie byle jakie, jak gotowa mieszanka przypraw do
spaghetti bolognese. Albo lista zakupów napisana na wyrwanej
kartce ze starego kalendarza. Kłapki pospiesznie włożone, żeby
otworzyć drzwi kurierowi. Wszelkie odpowiedzi: „Tak, ja też” albo
„Tak, ja tak samo”.

Ale skupić na czym, tak właściwie?

Na pewno nie na tym, na czym powinnam.

No właśnie, na czym?

Dobra, już dosyć.

Kręcę głową, rozciągam szyję.

Odgarniam włosy z twarzy.

Jeszcze nie aż tak dawno temu mnóstwo rzeczy i ludzi mnie dener-
wowało. Bo ktoś nie tak na mnie spojrział. Bo coś nie wyglądało tak,
jak uważałam, że powinno. Dużo myślę o tym, jak niemiłosiernie
mnie po prostu wszystko irytowało. W każdy możliwy chyba spo-
sób. I ta irytacja z czasem zaczęła się przeobrażać. W coś odwrot-
nego. Wściekła, mięsista i kipiąca z czerwoności wewnętrzna masa
zaczęła stygnąć. Opadała i opadała. Mniej więcej tak, jak się robi

W lustrze

Ukryta prawda

Zuzanna Stempka

kawę sypaną – fusy opadają na dno po energicznym zamieszaniu. Tyle, że po wypiciu tej kawy fusy nie zostały wyrzucone. Zaczęły twardnieć. Przyklejać się do kubka i zmniejszać, zmniejszać, zmniejszać. Stały się jakąś dziwną skamieliną.

Tak też się stało z tym denerwowaniem. Najzwyczajniej zamieniło się to w odpuszczenie. Kubek z zastygłą na nieokreślone wieki kawą na dnie wyrzuciłam. Do niczego by się już nie przydał. Bardzo by mnie denerwowały wszelkie próby szorowania, skrobania i mycia. Trudno – tak się chyba mówi w takich sytuacjach.

Bo dużo kubków jest na przykład w Action, moim ulubionym sklepie – dla wiernych jego fanów zwany Akszonem. I w nim lubię kupować: czarki, świeczki, ramki do zdjęć. Żyję w głębokim przekonaniu, że w Akszonie można kupić prawie wszystko, co potrzebne do codziennego przeżycia. Ostatnio wstawili tam nawet kasy samoobsługowe, więc można kupić kubek i nawet nie ściągać słuchawek, żeby odpowiedzieć Pani za kasą: „Tak, kartą”.

No są te kubki wątpliwej jakości, to prawda, ale o tym świadczy też ich zawrotna cena, czyli całe pięć złotych. Moja koleżanka raz wlała do takiej czarki (mojej ulubionej) gorącą kawę i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – dno kubka oraz jego ścianki stały się osobnymi bytami niskofunkcyjnymi. Już nie dało się z takiego kubeczka napić, mimo szczyrych chęci.

Teraz robię koła nogami – jedną macham w lewo, a drugą w prawo. Miarowo, równo – tak macham. Myślę nagle o takiej osobie, chyba każdy taką ma, co z dnia na dzień zniknęła. I nie mówię tu o wydarzeniu typu tragiczne, okropne i łamiące serce na kawałki niczym

kubek, który wyslizgnął się z dłoni, bo był tak gorący po wyjęciu ze zmywarki, że po prostu inaczej stać się nie mogło. Po prostu – mówiąc też prosto – taka osoba przestała sobie zdawać sprawę z mojego istnienia.

Kurdę, tak sobie teraz wypominam, że mogłam nie wyrzucać tych rozwalonych kubków. Nie podjęłam nawet próby ich sklejenia. Teraz nadal mogłabym pić sobie z nich kawę albo Oshee, albo trzymać w nich ołówki.

Ach, chyba lepiej pamiętać tylko te chwile, kiedy było fajnie. Kiedy ktoś potrafił w sekundę odczytać mój nastrój, jakby zanurzyć we mnie papierek lakmusowy. Albo kiedy... Dobra, nie pamiętam. Nie pamiętam, bo lepiej jest nie pamiętać.

Najlepiej mi się macha nogami, kiedy w ogóle wyobrażam sobie całą tę sytuację z innej perspektywy, jako scenę z *Ukrytej Prawdy*. Taką pełną dramaturgii niczym w antycznym teatrze, że oglądając ją, pomyślałam: „O kurczę, ta aktorka jest tak podobna do mnie, niesamowite”. Tyle że w tym paradokumencie, w każdym odcinku jest jakaś tytułowa ukryta prawda, a tu jedynym, co mogłoby nią być, jest to, że tak naprawdę nie jest to prawdziwe. Aktor, który ma być tobą, nie jest w ogóle do ciebie podobny.

Wkurza mnie to, że wszystko jest tymczasowe, że ktoś może mówić te same słowa różnym osobom i za każdym razem mówić to naprawdę.

To chyba jest moja kara za te wszystkie wyrzucone kubki, z których egzystencji też się wyparłam, wyrzuciłam je i uznałam, że jest po sprawie, bo przecież i tak kupię sobie jakiś nowy. Że po co takie po-

krzywione będą, posklejane, brzydkie, jeszcze będę musiała czekać, aż wyschną.

Ale z ludźmi to tak nie działa, bo niektórzy, jak ich dostaniesz, to już albo ucho mają uszczerbione, albo jakieś pęknięcia na szkliwie. I nawet jeśli chcesz, to nie każdy kubek skleisz. Tak mocno już macham nogami, że chyba zaraz odleczę.

Muszę wziąć głęboki oddech, maksymalnie napęlić policzki i głośno wypuścić z nich powietrze. Najlepiej kilkukrotnie z zaciśniętymi oczami.

Tak robię i może jest trochę lepiej.

Nie myślę już o tym.

Potem, wracam do domu i konwulsyjnie, jak dzięki żyjątko, zaczynam grzebać w śmieciach. Obłeśne, to prawda. I grzebię pośród opakowań po pierogach ruskich, jakichś paragonów z bezsensownymi kuponami i pustych opakowań po tytoniu. Nie mogę go znaleźć, więc w akcie desperacji wywalam całą zawartość śmietnika na podłogę w kuchni. Nieważne, że coś się wylewa spośród resztek, ale widzę to, po co zrobiłam taki „burdel”, jak to mówi moja mama.

Ucho od kubka. Samo ucho, a przysięgam, że wyrzucałam cały, tyle że w kawałkach. Przez przypadek straciłam go z blatu biurka, zdarza się każdemu, prawda?

Co się stało z resztą kubka... Nie mam pojęcia. Do dziś czasem odtwarzam tę sytuację i zapętlam w głowie cały bieg jej wydarzeń. Nie dochodzę do żadnych fundamentalnych wniosków. Niekiedy próbując zasnąć, przypominam sobie o tym kubku i jedyne, o czym wtedy marzę, to żeby mi się nie przyśnił.

Myślę, że najłatwiej byłoby uznać, że to wszystko wcale się nie wydarzyło. Że ktoś to napisał, ktoś to wyreżyserował, a ja tylko dobrze odegrałam swoją rolę. Że ta ławka była rekwizytem, machanie nogami zaplanowanym gestem, a ucho od kubka symbolicznym motywem, który miał wzruszyć widza przed reklamą AI leku na kaszel.

Może teraz lektor powie poważnym głosem: „Czy bohaterka pogodzi się z przeszłością? Czy odnajdzie brakujące kawałki?”. A ja wstanę z ławki, otrzępię spodnie, kamera zrobi powolny najazd na moją twarz i zapadnie dramatyczna cisza.

Wtedy nagle rozumiem, że ta cała ukryta prawda wcale nie jest ukryta. Ona jest banalna. Że nic się nie skleja idealnie. Kubki, ludzie, historie i różne takie.

Wstaję więc, przestaję machać nogami i idę do domu. Bez muzyki w tle, bez napisów końcowych. Jak statysta we własnym życiu.

I tak się skończył ten odcinek. Wróciłam do domu i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że nie mam z czego pić kawy.

Przesilenia

mieliśmy byliśmy

Beniamin Misiak

nad ranem wabiony niespokojnym snem
zapukał w nasze okno diabeł
za oknem były góry wysokie góry ciemne lasy
a za lasami gdzieś stał nasz mały dom
w tym domu na fotelu bujanym skrzypiącym
przed cienistym kominkiem usiadł diabeł
zwabiony zapachem niespokojnych dni
rankami parzył nam wywar gorzkiej atropiny
w garnku bulgotał krem z czarcich purchaw
gdy zasypialiśmy wlewał w nasze usta miód
miód warzony z pyłków fioletowych kwiatów
umarłych zanim pierwszy świt widział człowiek
uzależnił nas od hałasu nie umieliśmy ciszy
wszystkie meble inkrustowane węglem
niespokojne meble nie znosiły naszych ciał
w naszych oczodołach błyszczące
mahoniowe palce nie znajdują śladu skóry

w wystygłym kraterze próbuję
przesypywać swoje ślady
kwitną główki czarnych włosów w odpływie
wyżłabiam ciało w materacu

zmywam resztki lawy z podłogi
popiół rozrzedza się czyszcząc
kropla po kropli
odkrawam dawny świat
kawalek po kawalku

zanim tu wejdiesz wstrzymaj oddech
rozpadam się w trujący pył

kamienie/patyki

Eldgjá

Joanna Witczak

Joanna Witczak – urodzona w Poznaniu, aktualnie mieszka w Reykjavíku. Swoje imigranckie życie spędza głównie na czytaniu książek w gorących źródłach i poszukiwaniu zorzy. Autorka dramatów dla dzieci, opowiadań oraz wierszy. Robi kolorowe zdjęcia aparatem analogowym. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @joannawitczak13.

Furie

furie nie znają ka- lendarza

Adriana Sobkowiak

zima przyszła z opóźnieniem
furie nie krzyczą
porządkują archiwa
wyciągają kości z opisem: *przesilenie*

jesteśmy dziwaczne
pamiętamy rzeczy
osobliwe jest to
że świat wciąż się dziwi
naszej konsekwencji

furia działa poza czasem
a ciało nie chce zapomnieć

wracamy
nie po pojednanie
ale po brak zgody

Żuławy są płaskie jak pierwsza wersja pliku, nie ma gdzie się scho-
wać, wiatr przelatuje przez człowieka jak przez niedomknięte okno
w pociągu. Wtedy wierzyłem w ruch, że coś mnie wyniesie, jak źle
wklejone zdjęcie nad krawędź slajdu.

Warszawa nie była miastem, była aspiracją, animacją przejścia.
Fade in, fade out i już byłem.

Oto jestem, Mokotów, WSM, stara kamienica trzyma pion z przy-
zwyczajenia, na klatce schodowej pachnie mokrym psem i rosołem,
studenci palą jointy w ogródku.

Noszę kurtkę Adidas z lumpeksu, jest szybka i kolorowa. Rower
mam bez przerzutek, błękitna rama zadaje sznytu. Łagodnymi
dryftami przemierzam Warszawę. Jakbym lewitował. Moja mała
wielka przyjemność. Moment, kiedy odpoczywam od białego świa-
tła ekranów.

To jak mantra – mijam auta w korku na Rakowieckiej, robię cardio
na kładce obok Biblioteki Narodowej, staram się zdążyć przy świa-
tłach na RJP, Wilczą przejeżdżam na czerwonym, z Mokotowa do
Śródmieścia, z Łowickiej do Nowogrodzkiej.

Miasto powtarza się jak slajd z logotypami partnerów.

Kreacja i client service lekko pochyleni nad sobą, jakby coś wspólnie
projektowali.

Mówią: dowieźć, skalować, przepiąć.

Mówią: marka musi oddychać.

Oddajemy jej tlen.

Furie

W lustrze

Król Power- Pointa

Stanisław
Tarnowski

Mój pies ma szyję po metalu, czasem śni mu się szarpnięcie, czasem budzi się i patrzy, czy jeszcze tu jestem.

Jestem.

Włączymy się nocą po Polu Mokotowskim, kiedy inne psy poszły już spać, szukamy razem spokoju.

PowerPoint jest ciepły od palców, ślizga się pod opuszkami, jak kamień, który ktoś wygładził wodą, slajd po slajdzie, klik po kliku.

Niech żyją brandy!

Niech będą relewantne,

niech target rezonuje,

niech awareness wlewa się do lejka,

niech performance wypływa konwersję,

niech rośnie wykres,

niech będzie jasno,

niech będzie spójnie.

amen

Pracuję dla drogerii, w której jest zawsze korzystnie, więc pierdol te swoje promocje.

Pracuję dla telkomu, przez którego światłowód zawsze coś płynie – moja matka, mój stary i duch święty.

amen

Na kolejnym slajdzie układam zdjęcie kobiety w półprofilu, jej twarz jest obietnicą, mężczyzna biegnie przez rzepak, dziecko trzyma kabel jak żdźbło. Gradient rozciąga się jak świt na żuławskiej depresji, font ma charakter, a marka tonalność, kreacja musi być w strategii.

Rano budzę się i przez chwilę widzę siebie w stopce – małe logo w prawym dolnym rogu. Na slajdach: mój pies uwiązany na łańcuchu, kradną rower, landlord podnosi opłaty, z knajp stać mnie już tylko na bary mleczne, może będę musiał przeprowadzić się na Ursynów, a do śródmieścia jeździć metrem.

Z każdym rokiem czas przyspiesza – dni do tygodni, tygodnie do miesięcy. Żyję, żeby transferować pieniądze z jednego konta na drugie, między pracodawcą a landloldem. Robię slajdy, żeby spłacać czyjś kredyt.

Nogi miałą asfalt, a miasto się nie sprzeciwia. Obserwuję murale przy Polnej, reklamy na MDM, jakby też były prezentacją.

Czasem świat zamienia się w bullet pointy:

– pies

– rower

– kładka

– światło

– prezentacja

– pies

i wszystko ma krótką nazwę pliku

final_v9

ostateczna

poprawki

do wysyłki

spierdalaj.

W biurze cisza gotowa przyjąć wszystko, ludzie mieszkają w okienkach na Google Meets, są komentarzami w chmurze, współdzielonymi plikami.

Nagłówek wyżej. Zdjęcie daj większe.

Cień bardziej subtelny.

Call to action mocniej.

Kiedy przesuwam elementy, mam wrażenie, że ruszam z nimi, nie widać tego, ale czuję opór, jak przy jeździe pod wiatr.

Wjeżdżam w new biznes, ale bym tak sobie porobił reklamki.

Z góry przybywa zarządzenie, przynieście mi markę cukierków na tacy, opakowanie, które ma się śmiać. Cukier ma kolor, ma być odważny, ma się wyróżniać w tłumie innych kolorów.

Mówią o zabawie, ale w sali jest cicho, mamy za mało czasu, za dużo zadań i innych klientów. To zrób to z AI'em, Chat ci pomoże.

Pierwiastek FUN – wydobywają go pasywno-agresywne komentarze, rysujemy uśmiech w pikselach, podkreślamy światło, aż zaczyna boleć, ktoś chce, żeby było lżej, ktoś, żeby było grubiej, ktoś, żeby przebiło się przez półkę. Mówią o DNA, jakby marka miała ciało, jakby dało się je rozciąć i zobaczyć, czy w środku jest zabawa. Dodajemy więcej koloru więcej powietrza więcej dziecięcości, aż wszystko zaczyna się kleić. Wykres puchnie.

Żuławy wracają, płaskość rozlewa się pod powiekami, nie ma wykresu, nie ma animacji, tylko szum – wiatr i morskie fale.

Wieczorem rower – ścieżka – most – światło, pies biegnie obok, nie zna lejka, nie zna zasięgu, nie wie, czym jest love brand. Choć każdy love brand chciałby być takim pieskiem.

Czasem, kiedy gaszę komputer, mam wrażenie, że nie zamykam prezentacji, tylko przechodzę w tryb prezentera. Ja znikam, slajd

zostaje. Czasem wstawiam siebie, rower jako symbol autentyczności, psa jako element ocieplający komunikację, Mokotów jako kontekst aspiracyjny.

Układam swoje życie w deck,

slajd: lifestyle

slajd: wartości

slajd: balans.

Senior wraca z feedbackiem. Mówi, że moja tonalność jest nie-spójna, że jest za mało bold, że nie jestem w DNA marki. Więc przesuwam psa w lewo, rower w prawo, usuwam kolorową kurtkę z kadru, dodaję hasło: bliżej. mocniej. szybciej. SPORT YES!

Na chwilę wszystko wygląda dobrze, ja – też. Aż nawet most ma swój tagline, aż nawet Żuławy dałoby się sprzedać jako przestrzeń do wzrostu.

A ja stoję w prawym dolnym rogu, małe logo wciąż aktualne. Twarz ta sama, tylko bardziej zmęczona, wąs zamiast brody, czapka żółta zamiast czerwonej, matcha zamiast kawy.

Aż wszystko staje się przejściem, między jednym a drugim. Bez początku, bez budy i łańcucha, puszczone luzem bez kagańca.

Wszystko staje się przejściem i zostaje tylko miękkie wygaszenie ekranu.

Stanisław Tarnowski – Warszawiak, który dorósł na Żuławach. Autor, twórca filmowy, field recorder. Reżyser nagrodzonego na Alternative Film Festival w Toronto filmu *Po deszczu*. Jego prace z zakresu field recordingu emitowano w Radiu Kapitał oraz opublikowano w Społecznym Archiwum Warszawskiej Przyrody Fundacji Puszcza. Szwędacz, fan wędrówek pieszych i rowerowych. Psiarz. Czysze oplaca pracując jako strateg w agencji kreatywnej. Można go znaleźć na Instagramie na koncie @_sludwik.

Do zobaczenia

cztery razy osiem

Szymon
Dzięcielewski

głowica skrawająca skierowana
w głąb upartej skały
kopie

kieruje nią (stety niestety)
dwóch studentów

dajcie spokój z tą bielą
migreny idzie dostać

żarówki i wiercenie

przypominają kopalnie gipsu w
bachmucie (widziałem kiedyś niezłe
zdjęcie)

ząb wyjęty
bardzo dziękuję

Szymon Dzięcielewski – Gdańszczanin, studiuje i pracuje w Warszawie.

wreszcie mogę iść
i stawać się orędowniczką

a gdy będę musiała się zatrzymać
to w luce
w której świeci Słońce

Ola Jankowiak – działaczka kultury, working class hero z Zawiercia, wojowniczką miłości,
just a girl. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @olaluciola.

Wiosna

Wiosna

Ola Jankowiak

Festiwal/cyrk

Galopuj szybciej, bo jest rok ogni- stego ko- nia

Ola Jankowiak

styczeń luty marzec karuzela

nie musisz robić ze mnie błazna
on już jest gotowy

czeka na kogoś, kto weźmie go w obroty

I

Na pływanie zapisała mnie mama, do dziś nie wiem, dlaczego, skoro sama nie cierpiała wody. Początkowo nie przejawiałam żadnych talentów w tej dziedzinie, machałam bezsilnie wszystkimi kończynami i płynęłam do tyłu. Pamiętam, jak tata wspominał, że córka znajomych przepływa już kraulem cały sportowy basen. Byłam w zerówce i nie lubiłam głębokich basenów, bo woda w nich była zdecydowanie zimniejsza.

Mama nie umiała pływać, bo kiedy miała siedem lat, instruktor szkolnej sekcji wrzucił ją do wody, gdzie krztusząc się i wymachując rękoma próbowała utrzymać się na powierzchni. Kiedy mieszkaliśmy jeszcze w Raciborzu, stanowczo odmawiała odbierania mnie z samej pływalni, jak robiły to w większości mamy moich koleżanek, które wchodziły do nas do szatni i porządnie wycierały swoje córki i dokładnie suszyły im włosy. Moja mama czekała na mnie na przystanku autobusowym, zwykle wymawiała się ciężkimi zakupami, które robiła w trakcie moich zajęć, podczas piątkowego popołudnia. W efekcie zimą często chorowałam, bo kiedy opuszczałam pływalnię, z moich włosów skapywała woda.

Marzeniom szczególnie sprzyjało pływanie na grzbiecie, wyobrażałam sobie wtedy stroje, jakie założyłabym na siebie, gdybym miała pieniądze: kapelusze w stylu Michaela Jacksona, tiulowe spodniczki, dżinsowe kamizelki, skórzane kozaczki, kolorowe legginsy. Czasem przeprowadzałam też wywiady sama z sobą, odpowiadając sobie na przeróżne pytania na swój temat, raz po polsku, a raz po angielsku, bo akurat w trzeciej klasie przychodziła do mnie stu-

Rejs

W piękny rejs

Bogna Goślińska

dentka anglistyki, której rodzice płacili po dwadzieścia złotych za wizytę. Kiedy czekałam na sygnał startu, patrzyłam w szyby poprzetykane tu i ówdzie obślizgłym mchem, wiedziałam, że raczej nie dojrzę tam mamy, ale w tamtym czasie perspektywa tego, że mogłaby podglądać mnie podczas pływania wydawała mi się najczystsza emanacją matczynej miłości. Oczywiście nigdy się tam nie pojawiła, a ja dojeżdżałam do domu z torbą przesiąkniętą chlorowaną wodą z niedokładnie wyrzniętego kostiumu z logiem arena.

II

Ku mojemu zaskoczeniu moja córka nigdy nie polubiła wody tak, jak ja. Na zajęciach z pływania dla niemowląt płakała tak mocno, że po kwadransie uciekałam z nią do szatni z polikami spłonionymi ze wstydu. Kiedy była w strawach, temat powrócił, nie chciałam przecieżyć, żeby tak jak matka bała się wody i obchodziła baseny szerokim łukiem. Po pierwszych zajęciach instruktorka, rzutka studentka AWF-u i była mistrzyni Polski w stylu grzbietowym, wzięła mnie na bok i powiedziała, że moja córka uparcie odmawiała wyjścia z szatni, a że nie można było jej zostawić samej, Pani Iza musiała przekazać młodszą grupę koleżki, w efekcie czego dwunastka dziewięciolatków taplała się z maluchami w basenie o maksymalnej głębokości 1,20 m. Wybłagałam o jeszcze jedną szansę, ale gdy sytuacja się powtórzyła, poproszono mnie, abym wypisała córkę z zajęć. Dlatego kilka lat później przyjąłm z ulgą, że obowiązkowy od czwartej klasy basen odbywał się już na pływalni w innej części miasta, a zajęcia prowadził nie żaden student, a jeden ze szkolnych wuefistów. Jednak po paru tygodniach córka odkryła, jak łatwo wymigać się z zajęć, podając za powód niedysponowanie, ewentualnie ból głowy,

aby nie budzić zbyt dużych podejrzeń. Na tym etapie przestałam dopytywać o pływanie. Miałam tylko nadzieję, że przepuszczą ją z wf-u. I wiecie co? Żyjemy w czasach, w których naprawdę trudno kiblować na tym etapie edukacji.

III

Wszystko zaczęło się podczas wyjazdu do Jastarni, parę tygodni wcześniej złamałam nogę, więc to moja mama zabrała córkę na wczasy do willi Słoneczna. Nie wiem do końca, co się tam wydarzyło, ale dmuchane rękawki wróciły do Raciborza w stanie fabrycznym. Nawet nie chodzi o to, że babcia nie uczyła wnuczki pływać, od wielu lat podejrzewam, że matka naopowiadała jej tam jakichś niestworzonych historii o prehistorycznych węgorzach czy innych morskich hydrach. W kolejne lato, kiedy wybraliśmy się pod namioty na Suwalszczyznę, córka zapytała, czy wiem, że niektóre jeziora mają podwójne dno, a w gliniankach są zdradzieckie wiry wodne, które zasysają pływaków do swych głębin zaśmiecanych starymi maszynami wydobywczymi zalanyymi na szybko wodą. Nigdy nie wysledziłam źródeł tej całej mitologii, ale czułam w nich wymalowany na karminowo pazur matki. Zresztą Bóg mi świadkiem, że kiedy próbowałam wyperswadować młodej chodzenie na szkolny basen podczas jakiegoś rodzinnego grilla, matka przerwała mi tubalnym: „Irena i ten jej nonsens”, puszczając do córy perfekcyjne perskie oko. W gardle od razu zrobiła mi się taka surowa klucha, matce zdarzało się stawiać sprawy w tak autorytarny sposób. Syknęłam tylko cicho, ale dźwięk utonął w skwierczeniu grillowanych kabaczków, bo młoda miała wtedy ten swój jarski okres, co ku mojemu zdziwieniu zaakceptowała najszybciej moja

własna matka, czyli największa fanatyczka mięsów, pieczeni, klopsów i wszelkiej maści serdelków, które podjadały nocami, maczając ich końcówki w chrzanie. Rano biadoliła, że jej wyjedliśmy. Ta sama osoba piekła teraz regularnie grzybowe pasztety, lepiała kotlety jajeczne i owijała kapustę na gołąbki wokół farszu z kaszy i warzyw. Temat szkolnego basenu zawisł jeszcze na chwilę w zbiorowym milczeniu, ale zaraz przerwał go szloch syna kuzynki, który rozłożył się z zabawkami na terenie małego mrowiska, jakie powstało na lewo od wychodka. Córa uśmiechała się do siebie pod nosem, czytając jakąś gazetkę o celebrytach, którą drukowano na tym samym papierze, co broszury z promocjami w naszym Kauflandzie, a matka wróciła do spokojnego popijania karkówki Warką Strong. Rzuciłam porozumiewawcze spojrzenie mężowi, ale ten jak zwykle przeoczył napięcie między nami, pilnując drugiego grilla. Choć bardzo wspierający, był też pragmatycznym mężczyzną i zwykle nie wyczuwał tych wszystkich niuansów rozmowy, które bez wpadki wyczytujemy my, kobiety. Tęskniąc za sojusznikiem, jakimś bratem lub siostrą, którzy wsparliby mnie przeciwko matczynemu zniżkowaniu, wróciłam do przewracania paprykowo-pieczarkowych szaszłyków. Na szczęście wysmażę jeszcze tylko jedną partię i wymkniemy się razem z działek. Wymówię się tym, że odwożę go autem na dyżur, a w drodze do domu zahaczę jeszcze o Delfina. W soboty o ósmej wieczorem tory świecą już pustkami, a z ciał moszczących się w jacuzzi ulatują ostatnie bąbelki. Dotknęłam obojczyka, wyczuwając pod sukienką krawędź sportowego stroju, i uśmiechnęłam się sama do siebie.

– Mysza, chodź tu z jakimś większym talerzem, kabaczki gotowe.

IV

Kiedy młoda była już w liceum, mój tato zachorował. Miał twarz jak indyjskie jajo, ale nigdy nie widział dermatologa. Raz skierowali go na jakieś rutynowe badanie i zanim minął kwartał, wybieraliśmy trumnę. I choć rodzice od lat żyli w swoich odrębnych światach, które zazębiały się jedynie we wspólnej niechęci do urzędującego prezydenta miasta i jego konszachtów z mafią ogórkową, zobaczyłam, że tak nagle odejście towarzysza życia wstrząsnęło nią w jakiś zwierzęcy i niewidoczny gołym okiem sposób. Córa też wyglądała nietego przez parę tygodni, w końcu była to pierwsza śmierć, jakiej doświadczyła. Do tego dziadek nauczył ją jeździć konno i ta pasja przetrwała do jej lat nastoletnich. To właśnie on woził ją do stadniny, kiedy my z mężem pracowaliśmy na dwa etaty. Ojciec miał złotą rękę do tych zwierząt. Kiedy jako dziecko zabrał mnie do swojej rodzinnej wsi, zobaczyłam na własne oczy, jak uspokaja rozszalałego konia, który przestraszył się wystrzału z dubeltówki. Koń był w białobrązowe łaty, moja babi nazywała go czule krowiątkiem. Tata chciał wsadzić mnie na grzbiet, ale nie podobał mi się jego zapach, więc uciekłam.

Z tej strony rodziny, ludzi smagłych i łagodnych, był ostatni, dalej została już tylko ta druga połowa, czyli rozhisteryzowani krewni matki, po których odziedziczyłam skłonność do depresji i wahań nastrojów. Czasem biczowałam się, że jestem do niego tak niepodobna.

V

To było gorące lato, lody topniały moment po nałożeniu do wafelka, postanowiłam więc zabrać moje dziewczyny na wakacyjny wyjazd.

Wybrałam ośrodek, w którym znajdowała się bogato wyposażona świetlica i rowery do wypożyczenia, im zarezerwowałam mały dwuosobowy domek, a sama zdecydowałam się rozbić obok namiot. Mąż nie chciał nam przeszkadzać w żalobie obcą krwią i cudzym nazwiskiem, zresztą brał wtedy wszystkie możliwe dyżury, bo to był pierwszy rok spłacania kredytu za dom.

Pojechaliśmy więc same, niestety pierwszego dnia okazało się, że z mojego materaca ucieka powietrze, więc spędziłam noc na twardym.

Po śniadaniu postanowiłam pojechać rowerem po pobliskiego miasteczka i poszukać chociażby karimaty, niestety ani mama, ani córa nie chciały mi towarzyszyć, bo jak powiedziały, przyjechały się tu przede wszystkim byczyć i opalać. Zostawiłam młodej parę złotych na oranżadę i wsiadłam na zdezelowany rower, który skrzypiał przy każdym hamowaniu. W Barczewie okazało się, że większość lokali jest zamknięta z powodu przerwy wakacyjnej, ale udało mi się znaleźć sklep sportowy z wyborem mat do ćwiczeń. Wybrałam tę, która wydawała mi się najmniej twarda, a do tego dwa słomkowe kapelusze w ramach prezentu dla moich dziewczyn. Niestety droga z powrotem prowadziła pod górkę, więc powrót na kemping Królewska Sosna okazał się mordęgą. Kiedy dojechałam, cała spływałam potem. Domek był zamknięty na cztery spusty, nic dziwnego, bo dochodziła pora obiadowa. Szybko przebrałam się w namiocie w strój, aby ochlapać się przed jedzeniem, i puściłam się biegiem w dół skarpy ku wodzie. Jakie było moje zdziwienie, kiedy zaraz przy drewnianym pomoście zobaczyłam, jak te dwie wariatki dryfują po spokojnych falach na moim starym materacu!

Najwidoczniej ta mała dziurka nie stanowiła przeciwwskazania dla wodowania sprzętu.

Głęboko było tu może po pas, i tak dużo, biorąc pod uwagę, że obie nie umiały pływać. Ale wydawało się, że w niczym im to nie przeszkadza, bo bawiły się w najlepsze, odpychając się małymi wiosłkami podebranymi z wypożyczalni łódek. Weszłam do jeziora kawałek dalej, żeby nie przeszkadzać im w nowo odnalezionej radości, i ruszyłam przed siebie. Potrzebowałam przepłynąć co najmniej kilometr, żeby zmyć z siebie zmęczenie tego dnia i ostatnich miesięcy. Zaczęłam szybką żabką, trzymając łokcie blisko boków i maksymalnie wydłużając wybicie nogami. Mimo upałów, woda pozostawała rześka i krystalicznie czysta, jak to w polodowcowych jeziorach. Przepłynęłam kilkadziesiąt metrów i spojrzałam przez ramię, dwie ludzkie figurki wylegiwały się na materacu dryfującym majestatycznie po mieliźnie. Trzy siódemki, dwie siekierki i moja siedemnastka, szczęście musiało im sprzyjać. Były do siebie zupełnie niepodobne, jedna wyrostkowata i chuda, druga krępa i po seniorsku wszechwiedząca. Ale paluchy u stóp latały im radośnie dokładnie w ten sam sposób.

szczerłość/fanfiction

Mężczyzna z grotu

Aleksandra
Szymkowiak

Zgrzytało między nami już od początku wakacji. Wiedziałam, że tak będzie. Jeszcze przed ślubem intuicja podpowiadała mi prawdę o tym mężczyźnie. Ale mimo wszystko chciałam zostać jego żoną. Nie każdemu gwiazdy piszą udane pożycie.

Dni upływały w udawanym spokoju, a ja w każdej możliwej chwili trwałam w przekonaniu o nadchodzącej katastrofie. On zdawał się tego nie dostrzegać; co rano bez słowa wychodził na taras, gdzie siadał przed laptopem i nie reagował, kiedy coś do niego mówiłam. Nie mogłam tego znieść, więc co chwila stawałam w progu drzwi balkonowych i, chcąc wyglądać nonszalancko, opierałam się o framugę. Wymyślałam najróżniejsze pytania, jakie mogłabym mu zadać. Moim ulubionym było: „Myślisz, że zwierzęta czasem zakochują się w ludziach?”. Podało mi się zwłaszcza jego brzmienie.

Z wynajętego przez nas domu rozciągał się widok na morze. Kiedy znudziłam się mówieniem do siebie, przesiadywałam na tarasie w samych majtkach i wystawiałam twarz do słońca. Kątem oka zerkałam na męża, stale pochłoniętego pracą. Wiele razy zbierałam się, żeby wyznać, że nie tego oczekiwałam od podróży poślubnej; zbyt wiele, aby cokolwiek powiedzieć. Chociaż miłość nadal trzepotała mi w trzewiach, wiedziałam, że muszę ją upilnować, bo inaczej doprowadziłabym do upadku wszystkich zasad, które między nami panowały.

Kochanie, zaczęłam tamtego dnia i usiadłam mu na kolanach. Czekałam, aż podniesie wzrok znad ekranu, ale trwało to tak długo, że kiedy zmęczyła mnie niepewność, wyszeptalam: chodź do łóżka. Ciągłe milczał, więc pocałowałam go w kark, a potem jeszcze raz, namiętniej, w prawe ucho. Jest czas na pracę i czas na seks, odpo-

wiedział w końcu szorstko i zawiesił wzrok na klawiaturze. Każdą częścią swojego ciała walczyłam, żeby nie wziąć tego za obelgę. Może później pójdziemy na tę plażę, gdzie wczoraj tak ci się podobało, wyszczałam, bo musiałam zagryźć górną wargę, żeby się nie rozplakać. Tu jest lepszy widok, powiedział, a potem uniósł głowę i spojrzał w horyzont. Chociaż w tamtej chwili byłam w stanie zrobić wszystko, żeby tylko zwrócił na mnie uwagę, wiedziałam, że dalsza dyskusja nie ma znaczenia, i tak nie zmieni zdania. Po raz kolejny poległam.

Droga na plażę wiodła przez strome schody. Mimo że był dopiero początek lata, roilo się od jaszczurek. Każdemu kroku towarzyszył szelest w wysokiej po kolana trawie. Przez ścieżkę przeszłam szybko, z obrzydzeniem. Natrafiłam na oderwany jaszczurzy ogon, który nadal podrygiwał. Z trudem odwróciłam wzrok i ruszyłam przed siebie.

Nie wiedziałam, czy to miejsce w ogóle można nazwać plażą. W przewodniku opisano je jako baseny naturalne. „Gładkie, wapienne skały wtapiają się tu w wąski przesmyk, który przechodzi w grotę, a później wpada do lazurowego morza”.

Rozłożyłam ręcznik na przykurzonych skałach. Wokół kręciło się sporo nastolatków. Skończył się rok szkolny, pewnie odwiedzali krewnych podczas wakacji. Trzymali się za ręce i skakali do wody na bombę. Chłopcy pokazywali sobie co ładniejsze dziewczyny. Na szczęście ten wiek zostawiłam już za sobą.

Woda była przejrzysta i zimna. Usiadłam na krawędzi skały i zamoczyłam same łydki. Ochlapałam się, żeby nie doznać szoku termicznego. W końcu wskoczyłam.

Z otwartego akwenu przedostałam się do groty. Przestrzeń była olbrzymia, ale mimo wszystko dopadł mnie niepokój, kiedy przepływałam pod wystającą nad moją głową skałą. Dno zrobiło się ciemniejsze, więc obróciłam się na plecy, a wzrok zawiesiłam na wąskim okręgu u sklepienia grotty, przez który wpadało słońce. Promienie przełamwały tafłę, tworzyły pryzmat w odcieniach błękitu. Leżąc, kopałam nogami do żabki, a moje kończyny smagały fale jak pnącza. Zahaczyłam stopą o jeden z głazów, miękkie od porastających go wodorostów. Czułam, jakby musnęły mnie włosy drugiego człowieka.

Z grotty dało się wpłynąć do niewielkiej jaskini, która majaczyła w oddali jak ukryty portal. Miała kształt sporej pochwy. Jeszcze wczoraj mój mąż śmiał się, że trafia się tam za karę. Kiedy sama przyglądałam się jej w milczeniu, w głowie wciąż kołatały mi jego słowa. Chciałam, żeby był tu razem ze mną.

Z ciszy dobiegło mnie czyjeś wołanie, echo odbijające się od ścian grotty. Zatrzymałam się w jednym z zaciemnionych miejsc. Dno musiało być tam bardzo obślizgłe. Zmrużyłam oczy i dostrzegłam męską sylwetkę. Chodź do mnie, zaprosił melodyjnie, a potem usiadł na skale. Był nagi.

Zajęłam miejsce naprzeciwko, na tyle blisko, że nasze stopy się zetknęły. Mężczyzna odgarnął mi włosy z twarzy i położył dłoń na klatce piersiowej. Miał ciepłą, delikatną skórę, pachniał solą. Głośno wypuściłam powietrze, a potem wyciągnęłam rękę w kierunku jego ciała, ale mnie zatrzymał. Spojrzał mi prosto w oczy, jak w tantrze. W milczeniu zrobiłam to samo. W tamtym momencie nasze pola mentalne na pewno się stykały. Wzięłam to za dobry omen.

On z uśmiechem przyglądał się mojej dłoni. Zapomniałam zdjąć obrączki, więc zaczęłam obracać ją w palcach jak amulet. Mam męża, powiedziałam z dumą. Naturalnie, odparł, a z dna wyłowił algi i potarł nimi o moje podbrzusze. Dlaczego mnie zawołałeś? Przyjdź jutro, jeśli będziesz miała ochotę. Jesteś tu przez cały czas? Już nie odpowiedział; odwrócił się i zanurkował w głąb grotty. Włosami poruszał jak ukwiał.

Wieczorem mój mąż wyszedł na spacer. Rozebrałam się i położyłam do małżeńskiego łóżka. W domu było ciemno i cicho, na otwartym morzu zachodziło słońce. Tylko wiatr raz na jakiś czas uderzał w zardzewiałe okiennice, a pies sąsiadów, jeden z tych, które z natury nikogo nie lubią, ujadał na przechodniów.

W myślach odtwarzałam przebieg minionego popołudnia. Dotykałam się tak, jak dotknąłby mnie mężczyzna z grotty. Jego energia wykraczała ponad to, co znałam. Był jak Kalypso. Moja dłoń miarowo podnosiła się i opadała. Przyjemność rozlewała się jak magma.

Mój mąż wrócił po dwudziestej drugiej; zapalił światło w całym domu i odsunął każdą ze skrzypiących szuflad. Nim się obejrzałam, już leżałam w jego uścisku. Przyglądał mi się z manią w oczach. W tym spojrzeniu nie było nic z łagodności; wyobraziłam sobie, że zaraz rzuci się na mnie jak zwierzę. Odsunęłam się. Nie masz ochoty, zapytał zaskoczony. Przecież to ty zawsze odmawiasz, wyrzuciłam. Wydajesz się dziwna, zaczął, wszystko w porządku? Przytaknęłam. Nie uważałam tego za zdradę i nie miałam zamiaru go o niczym informować. Zresztą, jeśli powiedziałabym mu, że popołudniem kochałam się z obcym mężczyzną, który mieszka w grocie, mężczyzną-nimfą, nigdy by mi nie uwierzył. A co, odparłam,

coś ci nie pasuje? Milczał tak długo, że pies sąsiadów zmęczony się szczekaniem i zapadł w sen. Czasami zachowujesz się jak zupełnie obca osoba, powiedział, a ze względu na pauzę, którą zrobił, to określenie zabrzmiało jeszcze mroczniej. Nie musimy się kochać, jeśli nie chcesz, dodał i pocałował mnie w czoło, tak, jak ojciec całuje córkę w dniu ślubu.

Kiwnęłam głową i przejechałam dłonią po jego klatce piersiowej, wplątałam palce w kręcone włoski rosnące wokół sutków. Nasze biodra złączyły się w płynnym ruchu. Głośno udałam, że dochodzę. Wierzyłam, że jako żona jestem mu to winna.

Śniadanie jedliśmy w milczeniu odpowiednim dla dni, które nastąpiły w naszym małżeństwie. Siedzieliśmy obok siebie, a słońce podświetlało nasze twarze, tak, że mrużyliśmy oczy i ledwo widzieliśmy, co jemy. Obserwowałam, jak mój mąż obiera pomarańczę. Dłoń lepiła mu się od soku; chciałam oblizać ją od nadgarstka po czubek palców. Skóra byłaby słodka i chropowata. On rozsmarowałby na moich wargach miąższ z pomarańczy i położył ćwiartkę na języku. Całowałabym go coraz niżej, aż do stóp. Wyznałabym mu miłość, za każdym razem na inny sposób. Chciałabym zawsze być obok ciebie, powiedziałby szeptem i zaniósł mnie do sypialni.

Ciszę zagłuszył przepływający przez zatokę prom. Zostałam sama. Na ceramicznym spodku piętroszyły się cząstki pomarańczy. Wzięłam jedną do ust; była gorzka. Tęsknota sprawiła, że zakręciło mi się w głowie.

Lepiej niż wcześniej dostrzegłam, że sprawom trzeba pozwolić na ich naturalny bieg.

Idę na plażę, krzyknęłam, zarzucając ręcznik na ramię. Kotku, ja zostaję, powiedział przepraszająco, muszę popracować. Wiem, szepnęłam mu do ucha i szeroko się uśmiechnęłam. Przez chwilę miałam wrażenie, że robię to szczerze. Dobrego czasu, odparł, zaskoczony, że poszło tak gładko. Kocham cię, wyznał. Nie zostawiaj mnie, chciałam odpowiedzieć, ale wiedziałam, że nie powinnam. Zamiast tego posłałam mu kolejny uśmiech.

Morze było zimniejsze niż poprzedniego dnia, ale tym razem wskoczyłam bez wahania. Popłynęłam odkrytą żabką. Kiedy kopałam nogami, coś gładkiego dotknęło mojej stopy. Z góry wyglądało jak srebrzysta luna.

Zanurkowałam, żeby przyjrzeć się ławicy sardynek. Ich grzbiety połyskiwały na niebiesko. Śledziłam je wzrokiem, aż nie wypłynęły z grotu. W ekscytacji spojrzałam w stronę skały, gdzie wczoraj spotkałam mężczyznę, i wstrzymałam oddech. Na moim miejscu siedziała inna kobieta. Ją również masował algami.

Nie potrafiłam oderwać od nich wzroku. Wróciły słowa mojego męża, które miały mnie zapewnić, że mimo wszystko pozostaniemy małżeństwem, wyznana od niechcenia miłość. Wzdrygnęłam się.

W końcu tamta wypłynęła. Kiedy mnie mijala, uśmiechnęła się sztucznie, jakbyśmy korzystały z usług tego samego masażysty.

Zawsze jesteś tak rozchwytywany, zaczęłam i rozejrzałam się po grocie. Wąska strużka światła przedostawała się przez sklepienie. Wiele kobiet mnie potrzebuje, odparł, a ja poczułam na skórze jego dotyk. Moje ciało było sztywne, niespokojne. Po raz kolejny pomy-

ślałam, jak bardzo pragnę mojego męża. To wprawiło mnie w ponury nastrój. Dlaczego to robisz, zapytałam, żeby odwlec wszystko w czasie. Usiadłam na skale ze skrzyżowanymi nogami i spojrzałam mu prosto w oczy. Nie odpowiedział, więc zawiesiłam wzrok na jego sylwetce. Chociaż była dobrze wyrzeźbiona, kontury rozmywały się w tafli wody. Miał blond włosy i pełne usta, szerokie ramiona i długie palce. Zanurzyłam głowę. Ze stóp wyrastały mu łuski.

Myślałam o meandrach nadbrzeżnej ścieżki, które pokonałam, żeby do niego dotrzeć. Nie wiedziałam, ile mam czasu, ani kiedy przyjdzie kolejna kobieta. Popełniłam błąd.

Dla was, odpowiedział, kiedy już wypływałam, to przyjemność przyjąć do kogoś i nie zostać wyproszonym.

Jego głos przypominał syreni śpiew.

Wracając, znalazłam muszlę wielkości dłoni i zabrałam ją ze sobą. Muszle takiego rozmiaru zwykle niosą w sobie dźwięk samego oceanu. Kiedy wieczorem przyłożyłam ją do ucha, niczego nie usłyszałam. Dobrze, że jutro wyjeżdżamy, pomyślałam.

Aleksandra Szymkowiak (ur. 2002) – publikowała m. in. w *Składce*, *Epei*, *Tlenie Literackim*, *Stronie Czynnej*, *Odrze*, *Szajnie* i *Kwintesencji*, gdzie również redaguje. Pracuje nad debiutanczką powieścią, *Punktami wrzenia*.

Jeśli podejść za blisko, usłyszysz gardłowe dźwięki
mchrrumkanie, gdagdakanko, kuchukurwa rzechczywichście

Gdyby wejść do środka – nie poczuje, możesz stanąć nawet nad nią
założmy się więc – spróbuj wpełznąć i wyciągnąć z jej włosów jakiś zwój

Ale uważaj, dzielny druhu, bo gdy zaczniesz ciągnąć, też wypełźnie
drużyna, kompania, cała zgraja i oblepi ci paluszki, chciwe piąstki

Ona sama wygląd ma normalny, jeśli stanie przed tobą bez wstydu powie
taki wygląd mój. Co jeszcze się stanie? No dalej, wyciągnij z jej głowy

jakiś zwój. Mieszka sobie w ostatnim rzędzie nerek, okna ma zakryte,
ale widać wstążki, wstążeczki, które, gdy słońcu przyjdzie ochota zaświe-
cić, lśnią

Kasia Możejko albo Kasix Paryż – pochodzi z Białegostoku. Uczyła polskiego w liceum. Interesuje się historią literatury oraz serią gier *The Sims*. Jej wiersze w *Składce* są fragmentem większego cyklu opowiadającego historię jednej z jej bohaterek. Od stycznia tego roku prowadzi audycję w Radiu Kapitał o tzw. klasycie literatury. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @kasixparyz.

Dziwaczne i osobliwe

Przez okno (I)

Kasia Możejko

Dziwaczne i osobliwe

Przez okno (II)

Kasia Możejko

Izolacja robiła jej dobrze na wątrobę
mogła w końcu dać się ponieść

Po kolei. Chciała robić coś w ogrodzie
karmić zwierzęta, leczyć je i przyjmować porody

poznać zasady chemii, tworzyć konserwy, nalewki
przelewać, podgrzewać. Odwróciła wzrok – za długo –

alembik pękł. Resztki zamiotła w kąt, usiadła,
skrzyżowane ręce, twarz włożyła w dłoń

Ktoś ją zaczepiał, ktoś się przymilał, ktoś chciał
zaoferować szczególne usługi, wyjątkowe produkty

Nie mówiąc nikomu badała gatunki, stworzyła dwie istoty,
śmieszne ludziki, nadała im czułe imiona

A my przyglądaliśmy się jej przez okno; w tym była lepsza od nas,
że wiedziała, kiedy przymknąć, puścić oczko

wracamy do wspólnoty
jak do domu po pożarze
domek z kart, domek w zgliszczach

w archiwum leżymy my
w brudnopisach
z przypisem: *nie ukończono z powodu...*

ktoś skreślił nam biodra

ktoś dopisał ręce

którymi miałyśmy dźwigać przyszłość

wiosna przychodzi zawsze za wcześnie
jakby nie rozumiała,
że potrzebujemy jeszcze jednego roku żałoby
wspólnota nie jest wpisana w koło
to stół z krzywą nogą
przy którym uczymy się siedzieć
bez przeproszania

Dziwaczne i osobliwe

antrakt dla dzie- więtnastu matek

Adriana Sobkowiak



Redakcja: Krystian Furga, Klaudia Kołodziejczyk,
Sandra Moczulska, Marcin Salwin
Korekta: Krystian Furga, Oliwia Borowiec
Skład: Klaudia Kołodziejczyk, Sandra Moczulska
Projekt okładki: Marcin Salwin
Kolaże na stronach 4, 66-67: Martyna Ptak
(@_martynaptak_) i Iwo Wótkiewicz (@iwo.wmv)
Magazyn Literacki Składka, Warszawa 2026
www.magazynskladka.pl



SKLADKA